

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 1 LISTOPADA 1930 ROKU

NR. 44

ANDRZEJ STRUG

37)

ŻÓŁTY KRZYŻ

W rezultacie milionów pocisków, miotaczy min, miotaczy ognia i naprowadzenia ogromnych rezerw, pomimo zaskoczenia przeciwnika, mimo przewagi liczebnej i coraz to okropniejszych niespodziewanych gazów, atakujący był zawsze zatrzymany o trzy kilometry czy — co wychodzi na jedno — o trzynaście kilometrów od starej pozycji. Tworzył się na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów nowy zarys frontu, na którym nie zyskiwała nic strona atakująca, a zarabiali na tej zmianie jedynie wydawcy miłych, kolorowych mapek, przeznaczonych dla czytelników codziennych komunikatów. Jaka jest przyczyna tych niepowodzeń? Proszę odpowiedzieć.

— Trudno się w to wdawać. Przyczyn jest mnóstwo, a za każdym razem są inne.

— Przyczyna jest jedna i za każdym razem ta sama. Tak potwornie prosta, że nikt jej nie zauważył w przeciągu trzech lat.

— Dopiero pani?

— Nie, nie ja. W zeszłym roku wreszcie spostrzeżono to w Anglii.

— Co za cuda mi pani opowiada?

— Tą prostą prawdą jest, że dopóki obie strony siedzą w okopach i schronach, to o tyle o ile żywe ciało ludzkie jest zabezpieczone przed kulą i pociskiem, ale gdy atakujący po najstraszliwszym nawet przygotowaniu artyleryjskim wyleżą z poza swoich osłon, to karabiny maszynowe, ogień zaporowy i tak dalej biją w ich żywe mięso i w rezultacie atak się załamuje zawsze. Straty atakującego są tak potworne, że wreszcie żołnierze nie chcą iść dalej, nietylko ci przemęczeni i zdziesiątkowani, ale nawet świeże rezerwy.

— Tak jest, ale cóż pani na to poradzi?

— Znowu sprawa genialnie prosta. Trzeba, żeby żołnierz atakował, nie opuszczając okopów, czyli żeby je zabierał ze sobą.

— Hahaha... To rzeczywiście proste!

— W tym celu Anglicy budują ruchome stalowe pancerne blockhausy, które na gąsienicowych kołach przejdą przez wszystkie druty, doły, okopy. Zawierają one garść żołnierzy, karabiny maszynowe, armaty i idą naprzód, jak żywy taran, nieczuły na kule i granaty.

— Tak, Niemcy zabrali trochę tych cudów na angielskim froncie. Pokazywali je tu w kinie, widziałem te zabaweczki.

— Nic pan jeszcze nie widział. Ale tysiąc fabryk we Francji, w Anglii, w Ameryce z niezmiernym pośpiechem wytwarza nowy typ czołgów-olbrzymów i w swoim czasie dziesiątki tysięcy tych maszyn

ruszą do ataku. Już nie bezbronny pojedynczy człowiek będzie żołnierzem w tej ofensywie, ale fantastyczna zbiorowa jednostka — czołg. Czy to nie proste? A jednak trzy lata minęły, zanim się tego domyślono.

— A któż zabroni Niemcom budować czołgi?

— A czy to robią? Pan powinien wiedzieć.

— Zamierzają, owszem, ale jakoś jeszcze nie zaczęli.

— Już nie zdążą. I choćby im dano czas, nie podołaliby już zadaniu. Ich przemysł jest i tak przeciążony. Jednak mniejsza o czołgi, chciałam panu tylko pokazać na przykładzie, że w zjawiskach wojny tają się nieskończone możliwości, trzeba je tylko spostrzedz w czas i zanalizować, zanim nieprzyjaciel zdąży to zrobić. Tak było i niestety jest dotychczas z gazami trującymi, którymi biją nas Niemcy. A poza techniką mamy zjawiska psychiczne, urojenia, ciężkie zamroczenia, psychozy wojenne... Właśnie moje zamiary leżą w tej dziedzinie.

— Pani Evo, pożądanie kobiety, czyli tak zwana miłość wywołuje u mężczyzny zamroczenia i szaleństwa; dzieje się to od tysięcy lat, było to podczas wojny trzydziestoletniej i po niej, jest i dziś i będzie jutro, po zawarciu pokoju. Ale niech pani nie liczy pod tym względem na generała von Sittenfelda. Ostrzegam panią jeszcze raz. Znam go dobrze, to mój przyjaciel. Widujemy się dość często, ale od roku nie mogę zgadnąć, czy on już wie o mojej tutaj roli, czy tylko coś niejasno podejrzewa. Obserwuję go i to bardzo podstępnie, a nic nie wiem. Czasami przychodzę do niego na butelkę i na szachy. Gramy, godzinami siedzimy sam na sam, gadamy o wszystkim, patrzymy sobie w oczy — i nic.

— Ależ to cudowne! Musi się pan znakomicie bawić?...

— Wolałbym nie. Jeśli panią ostrzegam, to wiem, co mówię. Ten człowiek wydaje mi się do szaleństwa rozkochany w pani, a swoją drogą pani rzeczy w hotelu są przetrząsane z jego rozkazu przynajmniej raz na tydzień.

— Pan to wie, czy pan tylko wyobraża sobie?

— Dowodów nie mam, ale znajomość generała starczy mi niemal za dowód rzeczowy. Złe pani zaczęła, chodząc do biura generała Dubail w ministerstwie na rue St. Dominique. Trzeba było urządzić te konferencje w jakimś prywatnym mieszkaniu. Mogło to być zaobserwowane przez wywiad niemiecki. A potem Genewa, a dalej — Bern. Nie mogło się obejść bez jakiejś nieostrożności. To w lot podchwycili jego łapacze.

— Łapacze będą ze mną zawsze nieszczęśliwi, ja zawsze i wszędzie obracam się w takiej ciżbie, tylu ludzi znam i jeszcze codziennie poznaję nowych, że ze mną nikt sobie nie da rady. Zresztą mnie każdy na ulicy pokaże palcami — patrz, to Eva Evard — ja się nigdy i nigdzie nie mogę ukryć, w tem cała moja osłona, a co do generała von Sittenfeld, o którym tyle mówimy, to bynajmniej nie zamierzam eksploatować jego uczuć, byłoby to z mojej strony niehonorowe.

— Co pani mówi? — Dyrektor van Trothen wyskandował te słowa z najwyższym zdumieniem — Niehonorowe?! Niehonorowe?! Co to znaczy? Więc pani przyjechała na ten straszny teren, żeby nagrywać jakiś cudacki film z romantycznymi kawałami? A więc pani chce się tylko zabawić... Niech się pani bawi czem i jak się pani żywnie podoba, ale niech pani nie igra sobie z wojną! Od tego wara!

Zdziwiła się z kolei Eva — czego on od niej chce? Był naprawdę oburzony, jakby czemś obrażony i przebił się w nim strach. Jego ostatnie słowa napomknęły jej o czemś dawnym. Zdawało jej się, że już słyszała raz to samo ostrzeżenie — gdzie, kiedy?

Van Trothen powstał, wysztywnił się i zaczął głosem namaszczone, uroczyście i dobitnie. Siwe piękne włosy, zaczesane na uszy, długi czarny surdut, złote okulary i skupione natchnienie, rozlane w wygolonym, aktorskim obliczu, czyniły go podobnym do kaznodziei. Zdobywał się na patos, na górnolotne porównania, czekało się tylko, że lada chwila zacytuje jakiś werset z pisma świętego. W piętnowaniu grzechów i zbrodni tego świata wpadał w zapał i w stylu wznosił się na wyżyny proroka.

— ... Niema takiej postaci brudu, podłości i świństwa, którychby pani nie spotkała na tej drodze... Wszystkie gatunki wymuszenia i szantażu, na każdym kroku zdradziecki podstęp, wszędzie chytra gra, nieraz naprawdę genialna w swej przewrotności, żeby panią wciągnąć w sidła. Piekielne są sztuki szpiegowskie! Niech się pani strzeże łatwych zdobyczy! Napotka pani dziecięcych starców, dygnitarzy nieprzytomnych z rozkochania, którzy niepytani sami zaczną opowiadać pani tajemnice państwowe, spotka pani naiwnych, zapalonych podporuczników, którzy nie będą mieli dla pani nic do ukrycia, proszę się takich strzedz, jak ognia! Niech nigdy nie dostrzegą w pani cienia zainteresowania temi rewelacjami, gdyż węższą tylko za tem, a zresztą wszystkich ich tak ciekawe informacje będą skłamane, żeby, gdy dojdą do nieprzyjaciela, wprowadziły go w błąd. O ile wiem, oblegają panią uwielbiające panie, jest to wśród niemek wyższych sfer gust dość rozpowszechniony, a wzmógł się jeszcze podczas wojny. Między nimi znajdzie się niejedna, nasłana umyślnie. Ten gatunek jest szczególnie niebezpieczny. Melancholijne niepokieszone wdowy w rodzaju cnotliwej, czystej pani Berty, opętane rozpustą kokainistki, grające doskonałe rolę zatraconych, nie dbających na nic desperatek, przeżartych przez nałóg i marzących tylko o samobójstwie, kobiety uspołecznione, bardzo poważne i rozumne, drżące o los ojczyzny i gotowe o każdej porze dnia i nocy dyskutować o klęskach Niemiec i szeptać ze zgrozą najtajniejsze informacje o planach kanclerza, o zamiarach cesarza, a wszystko pochodzące z najbliższego otoczenia monarchy. To są naganiaczki, to dopiero wstęp do rzeczy. Niech spostrzegą, że pani słucha rada i, broń Boże, rozpytuje i chce wiedzieć coś więcej, na ich miejsce występują aktorzy poważniejsi, prawdziwi zawodowcy. Mają oni swoje sposoby, żeby w niedługim czasie uwikłać upatrzoną ofiarę. Są

to panowie z towarzystwa, zamożni, na dobrych stanowiskach, powszechnie szanowani, dobroduszeni i ujmujący. Jeżeli pani mnie nie będzie słuchać, to niebawem doczeka się pani bardzo ciekawego momentu, gdy taki pan, korzystając z odpowiedniej chwili, odezwie się do pani najbrutalniejszymi słowami, zagrozi, nastraszy panią...

— Zawiedzie się na mnie...

— Nie! Albowiem już będzie panią miał w ręku. Zaczyna się gra otwarta, cyniczna, staje się pani niewolnicą kontrwywiadu i pod groźbą więzienia, tortury, śmierci będzie pani robiła, co każą, do granic najhambniejszego upodlenia. Na początek zdradzi pani i wyda van Trothena, na szczęście mnie jednego, gdyż nie pokażę pani nikogo z moich podwładnych...

— To nic nie szkodzi, już pan ich wyda wszystkim ze strachu czy pod batem albo na torturach...

— Każdy człowiek jest słaby, to też na ten wypadek...

I van Trothen wydobył z kieszonki od kamizelki małą pigułkę w celuloidowej pochewce. Ujął ją w dwa palce i demonstrował ją z tragiczną dumą przez dłuższą chwilę.

— Niech pan to schowa, nie należy nadużywać efektów.

— Pani! Pani! Wyrwało się pani słówko o honorze i stąd całe moje utrapienie... Jeśli pani wyobraża sobie, że dokona pani czegoś i że wyjdzie pani ze wszystkich opałów, jak biała kotka... Pani się unurza w paskudztwie po szyję, wyżej głowy...

— Nie, tego nie będzie. Gdyby pan znał mój plan, zaoszczędziłby pan sobie irytacji. Obawiam się, że pan cierpi na serce?

— Tak, nerwica, — choroba zawodowa. Jeżeli pani nie chce jej pogorszyć, niechże mi pani opowie bodaj ogólnikowo o swoim planie w wypadku, gdy go pani posiada. Bo nieraz tak się mówi, nie tyle dla błagi, o którą nie śmiałybym pani posądzać, ile z kobiecej przekorności, jak we flircie.

— Mój plan? Polega on na tem, że chcę kiedyś wrócić do Paryża i otrzymać Legję Honorową a może nawet Medaille Militaire za czyny męstwa w obliczu nieprzyjaciela. Dlatego też nie mogę panu powiedzieć o sobie nic więcej.

— Może jednak w tych paru słowach powiedziała pani zbyt wiele? Proszę być ostrożniejszą...

— Powiedziałam to rozmyślnie.

— A pani honor? Lojalność wobec swoich zobowiązań?

— Właśnie z poczucia honoru uważałam za właściwe napomknąć panu o zakończeniu mego planu. Będzie to raczej jego epilog.

— Jeżeli wogóle będzie miał miejsce.

— Czyżby pan chciał temu przeszkodzić?

— Choćbym nie chciał, to będzie to moim obowiązkiem, a obowiązki moje wypełniam sumiennie.

— Pan zapomina, że jestem obywatelką Norwegji, kraju neutralnego i że mam prawo pomagać jednej albo drugiej ze stron walczących. Jeszcze nie dokonałem wyboru, wiele z tego, co widziałam dotąd w Niemczech, skłania mnie do rewizji moich dawnych sympatji koalicyjnych. Zresztą, jak to panu już oznajmiłam, obchodzi mnie przedewszystkiem jak najszybsze zakończenie rzezi. Nie rozstrzygnęłam jeszcze, która strona powinna zwyciężyć dla dobra świata i ludzkości. Obecnie skłaniam się ku przypuszczeniu, że żadna. Zapewne zacznę działać w tym kierunku.

(D. c. n.).

MAYERLING

26)

Baronowa Vetsera spoglądała na niego, słowa nie rozumiejąc. Objął więc, że Marja Vetsera otruła następcę tronu i następnie sama się pozbawiła życia. Zatrzymano przedział w wieczornym pociągu odjeżdżającym do Wenecji dla pani Vetsery oraz jej rodziny.

Pani Vetsera, oniemiała z przerażenia, powalona tym ostatnim i nikczemnym ciosem, zgodziła się na ucieczkę z Wiednia. Odjedzie tego samego wieczoru, nie czekając nawet na powrót szwagra, hrabiego Stockau, który udał się przed południem do Mayerlingu. Lecz nieszczęśliwa kobieta przerachowała swoje siły. Ciężko chora wysiadła z pociągu w Reifling, gdzie spędziła noc.

Wróciła do Wiednia nazajutrz rano, to jest w czwartek 31-ego stycznia. Hrabia Stockau powtórzył jej to, co opowiadano w Mayerlingu. Arcyksiążę Rudolf i Marja zginęli od dwóch wystrzałów rewolwerowych; nie można było wyobrazić sobie, że Marja zastrzeliła następcę tronu; wręcz przeciwnie, wszystko wskazywało na to, że Rudolf zabił Marję przed pozabawieniem się życia. Odmówiono panu Stockau oddania ciała Marji i nie wpuszczono go do wnętrza domu.

Znacznie później dowiedziano się przyczyny interwencji urzędnika dworskiego z Hofburga. Obawiano się, że pani Vetsera uda się do Mayerlingu po zwłoki córki. Postanowiono zatem zmusić ją do opuszczenia Wiednia w tym samym dniu. Widziano, w jak niegodny sposób wywiązał się urzędnik dworski z powierzonego mu zadania. Należy wierzyć, że on jeden był odpowiedzialny za słowa powiedziane matce Marji.

Tymczasem, pani Vetsera musiała czekać na rozkazy dotyczące pogrzebu jej dziecka. Jak cesarz, była wierząca! Jak cesarz, pragnęła modłów dla swego dziecka. Czy zaopiekowano się jej biednym dzieckiem? Czyje ręce ubrały ją w śmiertelne szaty? Kto czuwał przy jej zwłokach w opustoszałym Mayerlingu? Te pytania bez odpowiedzi rwały w strzępy zbolełe serce matki.

Zaraz popołudniu, zjawił się u niej hrabia Stockau. Przyszedł z polecenia cesarza. Miał przy sobie list od następcy tronu, list adresowany do pani Vetsery. List ten miała otrzymać pod warunkiem, że zwróci go natychmiast po przeczytaniu. Dała słowo honoru, że list odda. Hrabia Stockau miał go odnieść cesarzowi.

Wręczono jej list. Tylko adres był skreślony ręką Rudolfa. Wewnątrz koperty znajdowały się trzy listy Marji z datą wtorku, 29-go stycznia. Jeden był do matki, dwa do brata i siostry.

Pierwszy list brzmiał:

„Kochana matko, wybac mi... Nie mogę oprzeć się miłości... Pragnę być pochowana obok niego, na cmentarzu w Alland... Jestem szczęśliwsza w śmierci, niż w życiu...“

Do siostry mówiła:

„Z wielką radością odchodzimy ku tajemniczym zaświatom. Myśl czasem o mnie. Bądź szczęśliwa i wyjdź za mąż tylko z wielkiej miłości. Nie mogłam wyjść za mąż w ten sposób, i nie mogłam oprzeć się miłości, więc z nim odchodzę.

Marja“.

„Nie płacz, jestem szczęśliwa“. Tu wszystko jest piękne i przypomina mi Schwarza. Przypomnij sobie linję życia na mojej ręce. Raz jeszcze żegnaj mi“.

„Co rok, trzynastego stycznia, przynos kwiaty na mój grób“.

Napisała do brata:

„Drogi Bracie, żegnaj. Będę czuwać nad tobą z tamtego świata, gdyż kocham cię bardzo.

Twoja wierna siostra“.

Przeczytawszy ostatnie słowa swojej córki, baronowa Vetsera zwróciła list panu Stockau, który odniósł go cesarzowi. Po godzinie cesarz oddał go hrabiemu. Pani Vetsera mogła zatrzymać ostatnie listy Marji. Jednocześnie, cesarzowa przesłała jej fotografię Mayerlingu, którą Rudolf polecił doręczyć matce Marji. Okna pokoju, w którym kochankowie spędzili ostatnią noc, były zaznaczone czarnym krzyżykiem.

Wreszcie hrabia Stockau dostał polecenie, by udał się natychmiast do Mayerlingu i pochował Marję na niezbyt oddalonym cmentarzu w Heiligenkreuz, który należy do klasztoru tegoż nazwiska. Miał dostać pełnomocnictwo od matki nieboszczki. Dano też klasztorowi polecenia dotyczące pogrzebu, który miał się tam zająć. Zabroniono surowo matce Marji wzięcia udziału w pogrzebie córki. Niewzruszone instrukcje Hofburgu zabraniały panu Stockau zabrania trumny do Mayerlingu. Miał udać się z Mayerlingu do Heiligenkreuz zwykłym powozem, którym wyjechać miał z Wiednia. Żaden ksiądz nie będzie mu towarzyszyć. Trumnę znajdzie w kaplicy cmentarza Heiligenkreuz. Wyższy urzędnik policji będzie go tam oczekiwał.

Okrucieństwo tych rozkazów dobiło panią Vetserę. Czy zniosłaby okropności i umęczenie takiej podróży? Dała żądane pełnomocnictwa hrabiemu Stockau, który pojechał powozem, razem ze swoim szwagrem, baronem Aleksandrem Baltazzi.

Była już późna noc, gdy przybyli do Mayerlingu. Długo stukali do bram, lecz nikt im ich nie otworzył. Po upływie godziny nadszedł drugi pojazd z Wiednia. Wysiedli z niego radca dworu Slatin, zastępca wielkiego marszałka dworu, oraz profesor Auchenthaler, jeden z nadwornych lekarzy cesarza.

Ci potrafili otworzyć bramy.

Zerwano pieczęcie, położone na drzwiach, prowadzących do pokoju, w którym znajdowało się ciało Marji.

Jaki smutny widok czekał ich!

Marja leżała na łóżku niemal naga. Położono ją tu o świcie i rzucono na nią stos ubrań, który ją przykrywał. Nie zaopiekowano się trupem, nie zamknięto nawet oczu; nie obtarto strugi krwi, która wytrysnęła z jej ust. Była wyciągnięta, skamieniała, z głową przegiętą na bok. Nikt nie modlił się przy jej łożu.

Spisano akt samobójstwa, chociaż znak kuli, który przeszedł za lewym uchem, był oczywistym dowodem, że została zastrzelona. Wujowie Marji byli zmuszeni położyć swoje podpisy pod tym aktem, bowiem w razie odmowy pogrzeb nie mógłby się odbyć i musiano by przeprowadzić śledztwo, a wynikiem śledztwa byłby nowy, niebywały skandal.

Doktor Auchenthaler oraz jeden ze służących ubrali Marję. Szczegół pełen grozy! Trzeba było

włożyć na zeszywniałe ciało suknię spacerową, w której Marja przybyła do Mayerlingu. Gdy była wreszcie gotowa, obuta, w kapeluszu na głowie, każdy z wujów wziął ją pod ramię i między nimi zeszła nocą po schodach, zeszła, jakgdyby była żywa.

Okrutny, głupi Hofburg nie chciał, ażeby w Mayerlingu znajdował się trup obok trupa następcy tronu.

Obydwaj mężczyźni umieścili Marję między sobą w powozie, który pojechał górską drogą do Heiligenkreuz, znajdującego się w odległości sześciu kilometrów. Na wyboistej drodze trząśnięty powóz, a z nim razem trup, który przechylał się to na lewo, to na prawo.

Pogoda była straszna. Jechano powoli, gdyż konie poślizgiwały się co chwila. Na nieszczęsny pojazd przybywający do Heiligenkreuz czekał wysoki urzędnik policji, baron Gorupp. Zatrzymał go przed miasteczkiem, usiadł na koźle obok woźnicy i kazał jechać wprost na cmentarz.

Dopiero o dwunastej w nocy zawinięto w śmiertelny całun biedną Marję i włożono ją do nędznej trumienki, skleconej na poczekaniu. Część nocy minęła na wypisaniu i zarejestrowaniu aktu zejścia. Deszcz, mgła, gołoledź utrudniały pracę grabarzom. O świcie musieli przyjść z pomocą grabarzom wujowie Marji, oraz dwaj urzędnicy policji. Jeden z braciszków klasztornych był obecny na tym pogrzebie; zmówił pacierz za umarłą i dał swoje błogosławieństwo.

Dopiero znacznie później otrzymała baronowa Vetsera upoważnienie zabrania ciała swojej córki i pochowania jej w Wiedniu. Nie skorzystała z tego. Zostawiono Marję na cichym wiejskim cmentarzu, gdzie wreszcie znalazła spokój. Pani Vetsera kazała wybudować kapliczkę na pamiątkę po swoim dziecku. Mogłaby wyryć na murach słowa Szekspira:

„Nie trwóżmy jej ducha. Pozwólmy mu odejść. Byłoby krzywdą, gdybyśmy go chcieli zatrzymać dłużej na tym barbarzyńskim świecie”.

Przekład H. Jel.

DRAMAT MAYERLINGU

W OSWIETLENIU JEDYNEGO ŚWIADKA,

HRABIEGO HOYOS.

Claude Anet, autor *Mayerlingu*, napisał: „Hrabia Hoyos umarł. On tylko w ową tragiczną noc z dwudziestego dziewiątego na trzydziesty stycznia roku 1789-ego był w Mayerlingu razem z Rudolfem i Marją. Nigdy nic nie powiedział”.

Hrabia Hoyos umarł. Nigdy nic nie powiedział, lecz napisał, i *J. Fr. d'Estaleux*, który utrzymywał bliższe stosunki z rodziną Hoyosa, dotarł do dokumentów, które w tak ciekawym świetle przedstawiają tragedję Mayerlingu...

J. Fr. d'Estaleux opatrzył te dokumenty w swoje, niemniej interesujące komentarze:

Nie istnieje już od czasów austriackiej rewolucji *tajemnica Mayerlingu*. Autentyczne dokumenty (zaświadczenia, sprawozdania, protokoły), redagowane w pierwszych dniach po tragedji Mayerlingu, w najściślejszej tajemnicy i głęboko ukryte, znajdują się obecnie w archiwum państwowym i są dla każdego dostępne.

W roku 1912-ym mieszkałem na Węgrzech i już wtedy miałem możność przekonania się, że w sferach

dworskich przynajmniej nie istniała nigdy żadna *tajemnica Mayerlingu*. Zwierzenia przyjaciół tronu, oraz rodziny Marji Vetsery, listy, pamiętniki zdołały zerwać wszelkie zasłony, które rzucono pośpiesznie na łożo samobójców.

Arcyksiążę Rudolf *nie mógł pozbawić się życia*. Była to prawda Państwa i Kościoła, prawda, za którą gwarantował Ojciec Święty. Cesarz Franciszek Józef wymógł, by nie kwestjonowano tego za jego życia (był znacznie bardziej kochany przez swoje narody, niż sobie to dzisiaj wyobrażamy).

Nie sądźmy tego zbolełego ojca, starajmy się zrozumieć go.

Był to człowiek o przeciętnej inteligencji, lecz pracowity i sumienny; najbardziej odpowiedzialny ze wszystkich urzędników państwowych. Nie posiadał fantazji, ale dużo rozsądku. Nie mógł odnaleźć siebie w Rudolfie. Byli sobie obcy, nic ich nie łączyło.

Jest to prawo natury, reguła niemal bez wyjątków: syn najstarszy dziedzicznie obciążony przez matkę. Otóż dziedzictwo Wittelsbachów było niezmiernie ciężkie! Żywy, bystry, pociągający, pełen temperamentu, Rudolf posiadał naturę artystyczną: nerwy, wrażliwość. Lecz skłonny był też do zmiany nastrojów, naglej rozpacz i przygnębienia, które rzucało go na pastwę siłom nocy. W tych okresach nie żył swoim życiem, lecz palił je! Jakiś tragiczny los uczynił tego niezrównoważonego człowieka synem najrozsądniejszego z ludzi. Nie mogło między nimi istnieć nic, poza wiecznymi nieporozumieniami.

Utraciwszy serce syna, ojciec ten widział w nim tylko następcę tronu. Z całym spokojem wziął na siebie to nadludzkie zadanie. Otóż ta niewrażliwość gniewała i podniecała najbardziej Rudolfa: zazdrościł i nienawidził jej. Stawał wprost woli ojca, zwalczał jego wpływy, starał się godzić w ideę ładu i porządku, która przyświecała Franciszkowi Józefowi. Kategorie imperatywy, które były naspikowane ojcowskie kazania, budziły w Rudolfie największą nieufność, oraz chorobliwy lęk. Czuł wstręt do bezczynności, pewności, ciasnego formalizmu, nieprzejednanego dogmatyzmu — jednym słowem, moralna atmosfera dworu stawała się nie do zniesienia. I wszystko to, co mu było tak nienawistne na dworze, wszystko to odnajdywał w ojcu, jak w zwierciadle. Lekceważenie dworskiej etykiety nie wystarczało już Rudolfowi: marzył o ostatecznym wyzwoleniu, o najzupełniejszym uniezależnieniu się. Nie brakowało mu środków, lecz który z nich wybrać?... Uciec? Wlec, gdzieindziej, życie ciężące mu zresztą... Spiskować. Zniszczyć maszynę imperjalizmu i zadać sobie tyle trudu, by odbudować ją nanowo, puścić w ruch i wprząc się w nią?

W jakim celu?

Wybrał samobójstwo, ucieczkę w śmierci!

Będąc w stosunkach dziennikarskich i przyjacielskich z hrabią Józefem Hoyosem oraz jego rodziną, kierowałem często rozmowę na temat śmierci Rudolfa. Dowiedziałem się podówczas (w roku 1912-ym), że tylko wersja samobójstwa miała cechy prawdy i nie zająłbym się niewątpliwie tą sprawą (która skądinąd była banalnym romanssem), gdybym nie przeczytał w artykule p. Aneta: „Hrabia Hoyos umarł. On jeden był w Mayerlingu z Rudolfem i Marją owej pamiętnej i tragicznej nocy. Nigdy nic nie powiedział”.

(D. c. n.).